

## Bez uzgodnienia

### **Wokół Trybunału**

Nie będzie zapewne przesady w stwierdzeniu, że w ostatnich tygodniach opinią publiczną poruszył... Trybunał Konstytucyjny. Poruszył do tego stopnia, że ujawnił daleko idącą rozbieżność poglądów na praktykę życia politycznego w kraju, rozbieżność nie wynikającą bynajmniej z własnego usytuowania w strukturach państwa. Tym różnicom poglądów warto się przyjrzeć.

Nie od rzeczy będzie wszakże zacząć sprawę od pieca, czyli od powstania Trybunału. Jego narodzinom towarzyszyły z jednej strony nadzieje na nową i niezwykle istotną gwarancję praworządnego działania organów państwa, z drugiej strony obawy przed paraliżowaniem tej działalności przez nadmierną i być może nadużywaną kontrolę formalnoprawną.

Nadziejom dane było niezwykle długo, jak na proces legislacyjny, czekać na spełnienie, a obawy zostały poważnie zniwelowane wydatnym ograniczaniem zakresu, w stosunku do projektowanego, uprawnionych do wszczynania postępowania, przed Trybunałem. Jest więc Trybunał owocem kompromisu i ostrożności. Ale jest! I od razu zaistniał w opinii publicznej w sposób bardzo spektakularny. Tytuły informacji prasowych po pierwszej rozprawie z powództwa Prezydium WRN we Wrocławiu nie pozostawiły wątpliwości, że mamy do czynienia z czymś dotychczas nie spotykanym, nawet wręcz niesłychanym. Bo jeśli w centralnym organie, na pierwszej stronie bije w oczy czytelnika tytuł „Rada Narodowa kontra Rada Ministrów”, to jest to ewenement 40-lecia i nie tylko na polską skalę.

Nie dołączyłbym do tych, którzy jednoznacznie potępiają takie tytuły i kryjące się za nimi intencje. A potępiają jako tanią sensację, demagogię, chęć wbicia klina między... itp. Widziałbym za nimi coś więcej lub coś zgoła innego – a mianowicie chęć wskazania na nową jakość stosunków publicznych w państwie. Wbrew milczącemu dotychczas założeniu „świętości nie szargać!” toruje sobie drogę przekonanie, że „świętości nie ma”. W tym sensie, że szacowne instytucje centralne – rząd i jego agendy – to przede wszystkim ludzie, a ci bywają omylni i choć może nie mają prawa do błędu, to przecież błędne posunięcie czy decyzja zawsze mogą się zdarzyć. I po to w system organów państwowych wmontowujemy nowy bezpiecznik, by takie błędy wyłapywał, a dalszym zapobiegał.

Trybuna! tę rolę zaczął pełnić z powodzeniem, a że w społeczny obieg z pomocą środków przekazu wszedł może zbyt głośno, to przecież lepiej niż gdyby zbyt cicho, niezauważenie. Dzięki temu w obywatelskiej świadomości Trybunał zaistniał nie jako jeszcze jedna instytucja, lecz jako określony sąd, przed którym można zaskarżyć decyzję nie tylko ministra, lecz także całego rządu. I spodziewać się, że będzie rozstrzygnięta zgodnie z prawem. Kto nie docenia politycznych efektów pierwszych orzeczeń Trybunału, ten nie traktuje na serio dążeń do konsekwentnego pogłębiała socjalistycznej odnowy.

Jednakże na tak ogólnym wniosku poprzestać nie sposób. Pierwsze orzeczenie Trybunału wzbudziło bowiem tak różne reakcje, że przemilczeć je wprost się nie godzi.

Lecz przypomnijmy krótko treść pierwszej rozprawy. Prezydium WRN we Wrocławiu wniosło o uchylenie dwóch przepisów rozporządzenia Rady Ministrów z września ub.r., rozporządzenia wykonawczego do ustawy o gospodarce gruntami i wywłaszczeniu nieruchomości, podwyższającego opłaty eksploatacyjne i za remonty mieszkań wykupionych od państwa na własność. Wnioskodawca zarzucał tym przepisom niezgodność z Konstytucją i z ustawą. Trybunał orzekł, że rzeczywiście zaskarżone przepisy są niezgodne z ustawą,

a jeden z konstytucyjną zasadą równości wobec prawa i ustalił, że rząd powinien usunąć te niezgodności.

Nie wdaję się w tym miejscu w meritum sprawy, do czego jeszcze wrócę. Chodzi mi o reakcje. Pierwsze z nich typu „rząd przegrał – rada narodowa wygrała” dosyć szybko zdominowane zostały przez rozsądne „zwyciężyło prawo”. I to jest rzecz ogromna! Poszanowanie prawa, jego zasad i litery, zostało jednoznacznie rozciągnięte na wszystkie organy państwa bez wyjątku.

Mogę zrozumieć rozgoryczenie przedstawicieli rządu, skorygowanych przez Trybunał w płaszczyźnie prawnej, przy jednoczesnym uznaniu ich racji społecznych i ekonomicznych. Rozgoryczeniu temu dali wyraz w rozmowie opublikowanej nazajutrz w „Rzeczpospolitej”. Niepotrzebnie jednak jakby deprecjonowali orzeczenie Trybunału, nigdy tak go nie określając, za to wielokrotnie używając zwrotu: „skład ocenił”, „skład wypowiedział”, „skład stwierdził”, „skład Trybunału nie ustosunkował się”, „skład orzekający nie wziął pod uwagę” – wszędzie „skład”, ani razu „Trybunał”. Odbiega to rażąco od praktyki wymiaru sprawiedliwości, z którą postępowanie przed Trybunałem można porównywać, gdzie zawsze operuje się pojęciem „sąd orzekł”, „sąd stwierdził”, „sąd ocenił” – chociaż każdy sąd czyni to w jakimś składzie, nieraz nawet jednoosobowo. Niepotrzebnie więc zrozumiałe rozgoryczenie znalazło taki właśnie wyraz.

Jest to jednak spostrzeżenie ze sfery reakcji psychologicznych, w gruncie rzeczy nie tak istotnych. Natomiast inny typ reakcji, poważnej i niepokojącej, ujawnił się w kilka dni później na konferencji u rzecznika prasowego rządu. Oto przedstawiciel popularnej popołudniówki zadaje pytanie (cytuję z pamięci, lecz sens jest wierny): „Czy rząd zdaje sobie sprawę z negatywnych skutków politycznych odwołania się od orzeczenia Trybunału”? I na taką reakcję zawartą w tym pytaniu, a formułowaną rzekomo w imieniu opinii publicznej, zgody być nie może!

To jak to? Ustanawiamy Trybunał, określamy tryb orzekania, postępowanie odwoławcze do pełnego składu Trybunału – by natychmiast przerwać drogę dochodzenia do prawa w momencie gdy pierwsze orzeczenie nas satysfakcjonuje? Bo to takie chwytliwe propagandowo? Bo „przegrał rząd”? A jakież to polityczny uszczerbek ma przynieść odwołanie się rządu? Wszystko tu zostało postawione na głowie!

Odmówienie komukolwiek, a tym bardziej rządowi, prawa do dochodzenia swoich racji na drodze przez prawo przewidzianej – to dopiero przynieść by mogło prawdziwie negatywne skutki polityczne, bo świadczyłoby o dążeniu do spektakularnych, wręcz efekciarskich rozstrzygnięć obliczonych na bardzo tani poklask. Nie miało to nic wspólnego z praworządnością, za to bardzo wiele z manipulacją. Aż dziw bierze, jak głęboko tkwią w świadomości niektórych poglądy typu „kto kogo”, przy pominięciu istoty: „o co rzecz idzie”. A idzie o prawo. Tylko i aż o prawo. Dlatego nie ma również zgody na takie stanowisko, jakie w „Gazecie Krakowskiej” z dnia 15 lipca br. zaprezentował Edward Krawiec. W obszernym wywodzie dotyczącym meritum spornego rozporządzenia wykonawczego rządu, przedstawia argumenty za podwyżkami opłat eksploatacyjnych i za remonty mieszkań wykupionych na własność od państwa, których właściciele zrobili na wykupie dobry interes. Pomińmy już, że do tego interesu namawiało usilnie państwo, że aktualnie interes społeczny wymagałby podwyżek, czego przecież Trybunał nie kwestionował. Ale nie można pominąć pełnej nonszalancji wobec prawa.

Bo jak inaczej kwalifikować uwagi typu: „Nie będę się wypowiadał na temat tego, czy i w jakim stopniu prawo zostało naruszone.... Wykorzystując rzeczywiste lub pozorne nieścisłości prawnicze..., nie przesadzajmy z tym prawem, kiedy rzeczywistość skrzeczy..., zwycięży człowiek a nie litera prawa..., dogmatyczne czytanie prawa..., dogmatem jest sucha,

*nieprzemysłana i niedoprecyzowana litera prawa..., by tę suchą i niedoprecyzowaną literę prawa uczłowieczyć i interesom człowieka podporządkować – nie trzeba się ciągnąć po trybunałach”.*

Smutno się robi, gdy człowiek czyta tak prymitywne i lekceważące literę prawa uwagi. W życiu społecznym i gospodarczym kraju przez dziesięciolecia obowiązuje wobec prawa zasada celowości – prawo miało służyć interesowi społecznemu. I służyło, jakże często zmieniane i nowelizowane; by wspierać interes społeczny. Dobrze gdy rzeczywisty interes społeczny, ale pamiętamy, że nie tylko, nie tylko.

Gdy istnieje szansa, na może cień szansy, by prawo odgrywało jakże rolę samoistnego czynnika regulującego bieg spraw publicznych, by było uszanowane jako takie, a więc przez wszystkich przestrzegane – zjawia się pragmatyk i z ciężkich baterii celowości ostrzeliwuje kruchy szaniec legalistów. Ci ostatni zawsze dotychczas przegrywali, bo dogmatem nie było prawo – dogmatem była celowość. Rzeczywista, ale bywało że i wymaginowana, naciągana.

Wydawałoby się, że po tylu wstrząsach i niepokojach społecznych poczucie stabilności porządku prawnego, w jakim funkcjonuje państwo i jego organy a żyją jego obywatele, jest wartością pożądaną i twórczą. Jak widać, nie wszyscy tak to rozumieją. Nawet postulując zmiany niedogodnych z jakichś względów przepisów prawnych trwają w złudnym przekonaniu, że nowy przepis oznacza automatycznie praworządność. Tym czasem praworządność to proces oparty na stabilności i poszanowaniu prawa. Prawo często zmieniane nie może być szanowane.

Lecz póki co, Trybunał Konstytucyjny uczy szacunku dla prawa – jego litery, ducha i zasad. Zawierzmy jego orzeczeniom.

Tadeusz Kołodziejczyk  
**„Rada Narodowa” 23.VIII.1986**